



Szminka, puder **i pióro**

Czekać, aż jakiś wścibiśki dziennikarz policzy wszystkich kochanków, wypite butelki whisky, zarobione na trzeciorzędnych estradach pieniądze i opuszczone dzieci? Pozwolić, by ktoś po śmierci szperał w zamkniętych szufladach, gonił za sensacją i bezceremonialnie odstał ciemne strony życia? Czy nie roztropniej chwycić za pióro, maczać go raz w szmince, raz w atramencie i zdradzać z aktorską wprawą tylko te sekrety, które mogą być zdradzone? Wydawcy płacą, publiczność - złażniona najdziwaczniejszych szczegółów z życia Jandy, Olbrychskiego, Rodowicz czy Dymnej - kupuje, a krytycy mówią o nowym zjawisku: autobiograficznym biznesie.

Co nam daje informacja, że kłopoty z zębami przytrafiają się nie w porę, a zwykle za granicą? Dowcipny Jerzy Gruza rozwodzi się o swoich przypadłościach z szóstkami, a nawet jedynekami na kilku stronach anegdotycznych wspomnień „40 lat minęło jak jeden dzień”. W Wiedniu pewien maniak rekordów w 90 sekund wypełnia mu akrylem jedynki, które ciemnieją po kilku miesiącach, a potem łamią się „na niedokładnie wydrylowanej oliwce w Sztokholmie, podczas gwałtownej dyskusji o polskim antysemityzmie”. W Stanach Zjednoczonych, ze skromnymi dietami w kieszeni, cierpi oglądając musical na Broadwayu, bo od górnej lewej szóstki puchnie mu policzek. Dzwoni do Ewy Pape (ważne są nazwiska, bez nazwisk nie ma wspomnień), ta do znajomego dentysty, który wyemigrował z Białegostoku. Gruza siedzi na fotelu, rozmawiają o Wałęsie, szczypcie w dziąsłach i „nagle trach, ząb pęka na kawałki, rozpoczyna się dłu-towanie, znieczulanie”. Koszmar rozpisany na 300 słów.

Snuć opowieść o sobie i nie popaść w kokieterię to trudna sztuka, która niewiele się udaje. Gruza na każdej stronie puszcza do czytelnika perskie oko. Dokuczają mu zęby, nerwica płciowa (pozostałość po pokoju przechodnim, jeśli to prawda), a w Rumunii rozstrój żołądka, zresztą w doborowym towarzystwie Konrada Swinarskiego, Wojciecha Pszoniaka, Kotka (reżysera Kotkowskiego). „Jęki i rżężenie” we wspólnej latrynie bez misek klozetowych, pogotowie, igły grubości wskazującego palca, ataki kamicy nerkowej po błotnych kuracjach, chloroform rozsypywany po plaży z samolotu i opowieść o Cygance, która na krakowskim Rynku powiedziała Swinarskiemu: „Umrze pan w wieku czterdziestu sześciu lat”.

Jerzy Gruza, współautor scenariusza „Czterdziestolatka” zna kilka niezawodnych recept na kasowy bestseller. Ponieważ nie jest amantem filmowym, nie docięka prawdy o samym sobie i nie raczy publiczności szczegółami jak z encyklopedycznej biografii. Zawsze w tle, choć w centrum wydarzeń, błaznuje, podróżuje, chodzi na bankiety, reżyseruje, gada, żegna na cmentarzu przyjaciół. Czasem krótko zanotuje: „Piętnaście lat mieszkałem na 16 piętze w 27 metrach kwadratowych

z widokiem na Wisłę”. Przedstawi systematykę „różnych orgazmów”, opowie, jak podstuchiwał, przylepiony do rury, sąsiadkę-erotomankę, ale o własnych sukcesach łóżkowych wspomni nader powściągliwie.

Oczywiście, jest zwariowany SPATiF stylowych lat sześćdziesiątych, gdzie jeszcze o szóstej rano można było pogadać ze Zdzisławem Maklakiewiczem przy ostatniej tej nocy butelce, a Juliusz Berger, aktor z Teatru Żydowskiego, mógł swobodnie wejść na salę i krzyżeć od drzwi do siedzącego Urbana: „Ty parszywy śmieciarzu! Ty przyczyno antysemityzmu w tym kraju, dam ci po pysku!”

Po co autor nam to wszystko opowiada? Cóż, zręcznie nanizane i odświeżone anegdoty, zabawne wtręty mają jeden cel: „przechytrzyć los i jak najdalej odsunąć finał, który zawsze jest jeden - zejść ze sceny dosłownie i fizycznie” - mówi w jakimś momencie z nieoczekiwaną powagą. Pisanie jako powtórka z życia? Najdłuższy monolog wygłoszony przed publicznością, która zamiast biletu kupuje egzemplarz książki?

Biografie piszą Judasze

Objaśnianie techniki gry nawet największych aktorów niezbyt interesuje publiczność. Ciekawe jest ich życie. Badacze zjawiska twierdzą, że współczesna biografia - i w pewnym stopniu autobiografia - przejęła schedę po dziewiętnastowiecznej powieści realistycznej. Narodziny, małżeństwo i śmierć. Jeśli chce się osiągnąć sukces czytelnicy, między te trzy najważniejsze epizody życia trzeba wepchnąć, ile się da, plotek, skandali, rewelacji. Ilustrowane pisemka za kilkadziesiąt groszy rozpali-



Snuć opowieść o sobie i nie popaść
w kokieterię **to trudna sztuka**,
która niewiele się udaje.

ty ciekawość i upewniły tych, którzy jeszcze mieli skrupuły, że zagładanie do salonu (a nade wszystko do cudzej sypialni) przez dziurkę od klucza jest naturalnym odruchem człowieka. A zmyślenie, kłamstwo - byle pikantne - lepsze od nudnej prawdy. Zwodzą nawet fotografie. „Niedawno ukazała się okładka w jakimś «Życiu na gorąco» - opowiada Krystyna Janda w wydanych ostatnio zwierzeniach „Gwiazdy mają czerwone pazury” - a na niej portret mój i mojej córki, która mnie obejmuje. Tylko że moja głowa była ze zdjęcia chyba pana Małeckiego, Marysi, przypuszczam, że zdjęcia Renaty Pajchel, a ręce całkiem nieznanymi, z długimi czerwonymi pazurami, których moja córka nigdy nie miała, i ze zdumiewającym zegarkiem. Była to całkiem ładna praca jakiegoś komputera i mogę się jedynie cieszyć, że nie obejmuje mnie na przykład Jerzy Urban.”

Kiedy niemal każdego dnia czyta się o sobie jakieś natrętne plotki, przychodzi nieodparta pokusa, by własnoręcznie podretuszować nadzarpnięty wizerunek. Tak, przyznaje Krystyna Janda, miałam ostatnio złą prasę, ale kto miał dobrą? „Do zawodu krytyka wkroczyła grupa młodych ludzi, którzy chcą sobie wyrobić nazwiska. A nazwisko robi się negacją. Im ostrzej komuś dopieczesz, tym łatwiej cię zapamiętają, taki jest mechanizm.” Cóż, być może Marysia nie miała najłatwiejszego dzieciństwa. Po cichutku przykładała kolorowe pocztówki do szyby w drzwiach sypialni, mając nadzieję, że może to mamę zainteresuje i ją zawoła. Honorata, oddana domowi gosposia, ubierała ją tak, że wstyd było dziecko odbierać z przedszkola. To dziecko, nad wyraz dorosłe, pytało mamę, czy jest benzyna w baku, czy nie trzeba zrobić zakupów. Potem odrabiała lekcje trzymając na kolanach młodszego brata, Adasia. Tak, tak właśnie było, ale niech ktoś rzuci w gwiazdę kamieniem, skoro sama nam o tym pisze:

„Teraz, kiedy propozycje filmowe, ich akceptacja czy odrzucenie, zależą od dwóch małych synów, od ich rozwoju, pory roku, klimatu kraju, w którym kręcony jest film, korzystnego dla nich lub nie, przypominam sobie - zwierza się Janda - jak kręcąc film we Francji, zabrałam ze sobą Marysię i, niczym się nie przejmując, pierwszego dnia pobytu zaprowadziłam ją do szkoły

w obcym kraju i zostawiłam tam na cały czas moich zajęć. A podczas kręcenia zmieniałam tych szkół siedemnaście, ani przez chwilę się nie zastanawiając, jak ona to znosi”.

Pointa? Mistrzowska! „Pozdrawiam państwa i znajomych, czując się kochana przez moje dzieci.”

Żywiołowa, autoironiczna odsłania tyle, ile chce odsłonić. Nie pisze intymnego dziennika. Drukowane za życia wyznania nie są kryjówką, w której przebywa się bez świadków, rezygnuje ze szminki i maski. Jednak ze smakiem rysowany portret stroni od hagiograficznych zapędów. Ojciec nigdy nie widział jej na scenie, a w rodzinie wstawił się tym, że zasnął na przedstawieniu „Drzewa umierają stojąc” z Ćwiklińską w roli głównej. Niezwykły mąż, operator filmowy Edward Kłosiński, na pytanie: „A może ja jestem wyjątkowo głupia?”, odpowiada w jej książce: „Możliwe”. Czy musi robić tyle rzeczy - reżyserować, śpiewać, grać w filmie i teatrze, pisać felietony? Tym, których drażni jej wszechobecność, może powiedzieć na usprawiedliwienie: „Należę do ludzi, którzy sami się unieszczęśliwiają, wymagając od siebie nieustannej aktywności.”

Kunst autoprzedstawienia wymaga dyplomacji i szczypty zbawionego samobiczowania. Krystyna Janda, kobieta sukcesu, jest tak za-



pracowana, że „nie ma czasu cieszyć się niczym do końca”.

Ja, Mészáros, ja Kulmowa...

Zapytana na konferencji prasowej, dlaczego uważała, że trzeba jeszcze napisać książkę o tym, co już zostało opowiedziane w filmach, Marta Mészáros dość niejasno wyjaśniała, że w jej życiu było dużo tragedii, nieszczęść, ale i szczęśliwych momentów. Na jej oczach zmieniała się historia...

Znana w Polsce w równym stopniu z filmów, jak i barwnych opowieści Jana Nowickiego, jej towarzyszka życia, ta mądra kobieta panicznie boi się samotności. W domu, dookoła niej wciąż jest rodzina - tak liczna, że niemal nie mieści się na grupowej fotografii. W tym zgiełku Mészáros robi równocześnie mnóstwo rzeczy, bo potrafi skupić się tylko wtedy, kiedy



Na Węgry przywiozła ją i siostry przybrana matka, komunistka, która przyprowdzone koleżanki pytała jak najbardziej poważnie: „Kiedy towarzyszka chce wstąpić do partii?”. Marta nie kochała jej, była tylko wdzięczna za wywiezienie z ZSRR, choć do Moskwy jeszcze wróciła, by studiować reżyserię. Dzieje prywatnego życia, dzieje filmowej kariery, opowiedziane serio, bez anegdot, kokieterii. Co ciekawe i niezwykle rzadkie, miłość własna pozwala Mészáros odśłaniać nawet to, co nefotogeniczne. Mężczyzna jej życia, Miklós Jancsó, zostawia ją z trójką dzieci (tylko Muki, najmłodszy, jest jej rodzonym synem) i wyjeżdża robić karierę we Włoszech. „Próbowałam pracować - opowiada - ale cały czas bolało mnie moje osobiste życie. Byłam zrujnowana fizycznie, schudłam kilkanaście kilogramów, popadałam w coraz większą depresję. Potem cierpienie doszło do takiego stopnia, że nagle przestało mnie to boleć i ta miłość przestała istnieć.”

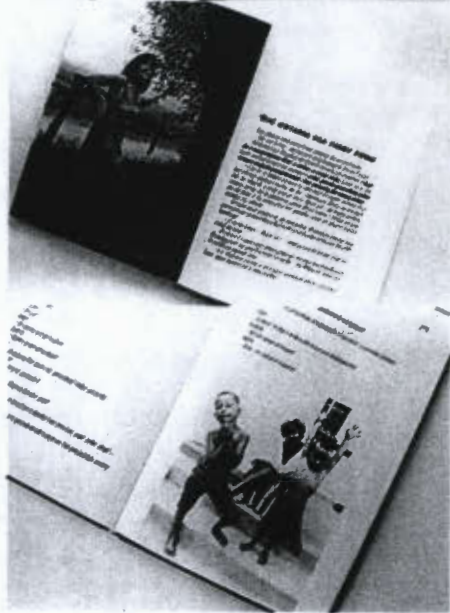
Ulga? Skądże! Marta Mészáros ma dość odwagi, by wyznać: „nie potrafię żyć bez miłości... dla mnie nie jest ważne, żeby ktoś mnie kochał, żeby ktoś był we mnie zakochany, lecz żebym ja kogoś kochała, żebym to ja była zakochana...”. I wtedy zobaczyła - w Warszawie - siedzącego przed telewizorem mężczyznę, który oglądał transmisję sportową. Zakochała się w Janie Nowickim w ciągu pięciu minut. Kiedy rozpoczęły zdjęcia do filmu „Dziewięć miesięcy”, pragnęła go tak bardzo, że „gotowa była spalić za sobą wszystkie mosty”. Są ze sobą od dwudziestu dwu lat, ale ci, którzy lubią smakowite szczegóły, niech raczej słuchają Jana Nowickiego. Mészáros płaci haracz zlanionej prywatnych zwierzeń publiczności, (na okładce widzimy

jest czynna zajęta. Na przykład zajęta, zerka w ciągle włączony telewizor (telewizję trzeba oglądać), dyskutuje, częstuje winem, wódką, a od czasu do czasu podchodzi do maszyny i dopisuje fragment scenariusza. Obiera włoszczyznę, wrzuca do garnka kilka kurzych udek, czosnek, cebulę. Zapach zwabia pół Budapesztu, a ona czuje się szczęśliwa, że uruchomiła taką masę ludzi. A potem kawa, herbata, papierosy, zmywanie naczyń - ktoś musi pozmywać, jeżeli nie ona, to kto. I nieustająca bitwa o pieniądze na kolejny film. Być może właśnie z tego oczekiwania na „Małą Vilmę”, film o jej zmarłej w 1942 roku matce i dzieciństwie w Kirgizji, zrodził się pomysł na wypełnienie czasu opowieścią o czasie minionym.

- Jest beznadziejnie zakochana w życiu - pisze w słowie wstępnym Eva Pataki, redaktorka węgierskiej wersji autobiografii „Ja, Marta”.

To wystarczający powód, by usiąść do pisania. W wypadku Mészáros jest jeszcze jeden: niezwykłość życiorysu. Nie wie dokładnie, kiedy się urodziła. W trzydziestym pierwszym, w trzydziestym czwartym? Jak przez mgłę pamięta Frunze, gdzie lewicujący ojciec (rzeźbiarz) osiedlił się, założył Akademię Sztuk Pięknych i ledwie zdążył wybudować dom dla rodziny, kiedy został aresztowany. Nigdy już go nie zobaczyła, nie wie, jak zginął. Pozwolono matce zostać w małym pokoiku i tutaj urodziły się jej siostry bliźniaczki. Chorą na tyfus matkę zabrało pogotowie. Nigdy nie odnalazła jej grobu.

„Z tego okresu pamiętam okropne przeżycie - pisze. - Jestem bardzo chora, leżę sama w zimnym pokoju pod kołdrą. Wszędzie wszy. Łaziły po mojej głowie i po całym ciele. Nie miałam co jeść, żułam biały owczy łój. To doznanie: głód, smród, wszy, smak łoju, towarzyszyło mi przez całe życie.”



we wszystkim opowieść o historii, która płacze ludziom życie.

Chłodna kalkulacja pozwala dojść do wniosku, że piszący autobiografię odnosi wtedy sukces, gdy wyobrazenie, jakie na podstawie lektury wyrobili sobie czytelnicy, w dużej mierze odpowiada jego życzeniom. Joanna Kulmowa maluje swój „poszlakowy” portret subtelną kreską, ale czy ktoś mógł się spodziewać, że to, co naprawdę chce osiągnąć ta czarująca pani, to przedstawienie siebie jako osoby represjonowanej? Dobrowolnie wygnana z mężem (pisze o nim „moje dziwadło”) do leśnej pustelni, pięćset kilometrów od Warszawy, wystawia rachunek swojego istnienia na obrzeżach literatury. Zielone powietrze Strumian nie leczy rozgoryczenia. Urodzona w zamożnej łódzkiej rodzinie (przedwojenne mieszkanie rodziców na Sienkiewicza było tak piękne, że w jego prawdziwość nigdy nie wierzyła), klepała przysłowiową biedę. Przez 350 stron książki ciągle przewijają się wspomnienia zniszczonych bucików, taniej bluzki i tułacej bezdomności. „Janek był przecież od dwóch lat bez pracy, miał wilczy bilet, utrzymywaliśmy się z mojego mizernego stypendium, nie mieliśmy dachu nad głową, eksmitowano nas czterokrotnie”.

Miodowe przyjęcie urządzili z fasonem we frontowym apartamencie Bristolu (tu zatrzymywał się Kiepusza), ale podali zaproszonym gościom - Konradowi Swinarskiemu i Bronisławowi Pawlikowi - osiem panczków. Potem mieszkali w komóreczce o wymiarach dwa i pół metra na półtora: „Nie mieliśmy tam niczego poza stołeczkiem, płytką elektryczną na parapecie maleńkiego okienka, czajnikiem, dwoma fajansowymi kubkami, miską i dwiema walizkami pod metalowym łóżkiem, które stało tak blisko piecyka, że trzeba było uważać na półcieł; mylił się, ustawiając miskę w zimnej sionce, pilne potrzeby życiowe załatwialiśmy w ogródku, a w sprawach ważniejszych korzystaliśmy z toalety miejskiej w dawnej rogatce przy placu Unii.”

Trudno administrować karierą z Puszczy Goleniowskiej i ta decyzja ucieczki najwyraźniej ciągle wymaga rozliczenia. „Uważano nas za ascetów - opowiada Joanna Kulmowa, a opowiada świetnie, co raczej jest rzadkością w autobiografiach pisanych przez amatorów, którzy nie mają atramentu we krwi - a przecież nasze pustelnictwo nie było wyrzeczeniem ani bohaterstwem (...) tutaj, w lesie, przynajmniej nie czujemy do siebie obrzydzenia, nie budzimy się rano z niesmakiem, że znów zrobiliśmy z siebie nadętych błaznów.”

Ale jakiś kamyk w bucie uwiera i każe pisać wspomnienia. Odrzucono wszędzie „Bajkę o gwizdku”, skonfiskowano „Balladę o cytrynie”, Szeląg, czyli Zbigniew Mitzner, redaktor naczelny „Szpilek”, wyleciał przez nią z pracy. Jarosław Iwaszkiewicz zapytał: „Po co pani w ogóle pisze? Z taką aparycją powinna pani siedzieć w kawiarni i tam czarować”. Ryszard Matuszewski, wpływowy krytyk,

dokończenie na str. 90

Drukowane za życia wyznania
nie są kryjówką, w której
rezygnuje się ze szminki i maski.

oświadczył: „Ja o niej pisać nie będę”. - „Nie mógł mnie wstawić do swojego podręcznika licealnego o literaturze?”

Praktycznie biorąc, rzecz pisze się sama

Kto oczekuje w tych przypudrowanych zapiskach codzienności, dozna rozczarowania. Rzetelnie opowiedziany dzień - od porannych pantofli, kawy, pierwszej domowej kłótni po wieczór spędzony być może na rachunkach domowych, prawdopodobnie ujawniałby drugi, niezaplany, mimowolny autoportret. Prawdziwszy od namalowanego z rozmysłem. O czym się więc opowiada? O teatrze, o literaturze, o współczesnych? Oczywiście, ciągle jest tu o tym mowa, zwłaszcza znajomi - sławni, dostarczający anegdotalnej okazji do ubarwienia tkanej materii, nigdy nie są pomijani. Nie bez powodu najbardziej pełnokrwistą postacią w autoryzowanej biografii Anny Dymnej jest jej niezjący mąż, Wiesław Dymny. Cóż, kiedy towarzystwo z Piwnicy pod Baranami zaczyna o nim mówić, opowieść skrzy się od niebanalnych opinii o ludzkiej naturze.

Być może aktorka nie jest bohaterką powieściową, na pewno ma niewiele gwiazdorskich manier. Jak wyznaje, sama pierze, kopie w ogródku, kosi trawę, gotuje, robi zakupy, szyje, dzierga na drutach, maluje ściany, a jej największym i urzeczywistnionym marzeniem było urodzenie dziecka. I choć małżeństwo z młodszym od niej masażystą (poznali się, gdy Anna przechodziła rehabilitację po groźnym wypadku samochodowym) rozpadło się, a ona niebezpiecznie przytyła, „niczego nie żałuje”. Solennie opowiedziana droga (ze szczegółową analizą ról) od rodzinnego domu, gdzie kozuch z mleka był nagrodą za dobre zachowanie w ciągu dnia, a szynka pojawiała się dwa razy w roku, z piękną babcią, miss Wiednia, w tle, przypomina sprawozdanie dyrektora szkoły o swojej ulubionej uczennicy. Czytelnik oceni: „Uważnych obserwatorów kariery Anny Dymnej nie zaskoczyła rola Lawinii. W końcu była już nie tylko dojrzałą kobietą, ale przede wszystkim dojrzałą aktorką”.

Dobra autobiografia wymaga, niestety, ekshibicjonistycznych skłonności i wcale nie chodzi o zagłębienie do kuchni i sypialni, ale do intymnych przeżyć. Jeśli biografia ma tłumaczyć twórczość, potrzebne są myśli, uczucia, wrażenia, zwyczaje, fobie, lęki... Po przeczytaniu trzystu, czterystu stron wyznań Jandy, Olbrychskiego, Stuhra, Dymnej, Osieckiej ciągle nie możemy powiedzieć, że są to nasi prywatni znajomi. Po śmierci Osieckiej wierni czytelnicy jej „Rozmów w tańcu” musieli odczuć dyskomfort, tak dalece rysowany przez nią autoportret różnił się od wspomnień jej córki. Agnieszka Perepczko, autorka wydanej właśnie

Szminka, puder i pióro



książki „Babie lato, czyli szczęśliwa przez całe życie” przynajmniej nie stwarza złudzeń. W prostej formie opowiada o rodzinnym domu w Milanówku - tym razem zasobnym, z tatą ordynatorem w anińskim szpitalu, z babeczkami truskawkowymi podawanymi na podwieczorek - o nieudanej karierze aktorki, pełnym zabawnych meandrów pobycie w Australii, gdzie utrzymywała się z fotografowania turystów i chodzenia po wybiegach w charakterze modelki. Tak, jest bohaterką tej książki, ale przede wszystkim sprzedaje zdobytą na antypodach wiedzę o sposobach zachowania zdrowia i urody. Czy ktoś chciałby wiedzieć, jak spędzała poniedziałki, jeden z najmiłszych - po pracowitym weekendzie - dni tygodnia? Rano wypijała szklanekę wody z miodem i kilkoma kroplami octu jabłkowego, bo ocet jabłkowy wypłukuje toksyny z organizmu. Potem odbywała na trawie półgodzinną medytację, jadła na śniadanie jajko na miękko lub płatki owsiane z mlekiem sojowym. Potem spacer z psem, wędrowka po sklepach - z mierzaniem, ale bez kupowania - kawa z przyjaciółką, wieczorem miska sałaty, wino, telewizor.

Idea rutynowego już niemal pisania wspomnień przez ludzi sceny jest dosyć nowym zjawiskiem. Po latach udzielania wywiadów, czy-

Żyjemy w epoce, która kocha wyznania i uznaje, że własny **życiorys jest towarem**, który można wystawić na sprzedaż.

Ludzie sceny piszą

Edward Dziewoński : *W życiu jak w teatrze*

Irena Górska Damińska: *Wygrałam życie*

Jerzy Gruza: *40 lat minęło*

Adam Hanuszkiewicz: *Psy, hondy i drabina*

Maja Komorowska: *31 dni maja*

Krystyna Janda : *Tylko się nie pchaj, Gwiazdy mają czerwone pazury*

Bogdan Łazuka: *... trzymam się!!!*

Juliusz Machulski : *Taniecocy z VIP-ami*

Daniel Olbrychski: *Anioły wokół głowy*

Agnieszka Perepeczko: *Babie lato*

Maryla Rodowicz : *Niech żyje bal*

Jerzy Stuhr: *Sercowa choroba, czyli moje życie w sztuce*

Igor Śmiałowski: *Cala wstecz*

W ostatnich latach ukazały się również autoryzowane biografie: Jana Nowickiego, Barbary Brylskiej, Hanka Bielickiej, Igi Cembrzyńskiej, Bogusława Lindy, Ignacego Gogolewskiego, Piotra Fronczewskiego, Zbigniewa Zamachowskiego.

tania plotkarskich doniesień, popularni aktorzy dochodzą do wniosku, że spisanie własnego życiorysu działa terapeutycznie, a przy okazji napelnia kieszeń. Kupując książkę - z sympatii, próżnej ciekawości, nadziei dowiedzenia się czegoś istotnego - oddajemy autorowi 10-15 procent ceny zapłaconej w kasie. Skrót „bm” - big money - raczej nie objaśnia tego zjawiska, choć niektórzy zapewne podreperowali finanse w chwili gorszej aktorskiej koniunktury. Pisanie niczym nie grozi, ponieważ wszyscy przestrzegają generalnej zasady miłosiernego traktowania kolegów, nawet byłych i niewiernych mężów. Ośmieszony w pierwszej edycji autobiografii Jandy Andrzej Seweryn, w drugiej jest już potraktowany znacznie łagodniej. Tych, których się nie lubi, można zbyć jednym kąśliwym zdaniem, ale lepiej nie zadawać żyjącym paskudnych ciosów, bo znokautowany usiądzie i wysmaży wspomnienie przyprawione jadem.

Jeszcze nie przyszła do nas moda na bezwzględne porachunki w stylu Mii Farrow, która Woody Allena ukazuje jako wariata i przestępcę seksualnego, deprawującego własne dzieci. Ale bez wątplenia kilka wyznań ukazało się nie tylko po to, by schlebić miłości własnej, ale i bez rozlewu krwi załatwiać rozmaite nieuregulowane sprawy środowiskowe i rodzinne.

Ponieważ opisywane życie przypomina jakąś filmową czy teatralną rolę, należy oczekiwać, że jednak czeka nas powtórka z tych życiorysów, tym razem napisanych mniej życzliwym piórem.

JOANNA MEYNARCZYK

Zdjęcia: Andrzej Wlernicki